

Zakonnica nie jest od czarnej roboty

Z siostrą MAŁGORZATĄ CHMIELEWSKĄ rozmawia Jarosław Makowski

Jarosław Makowski: - Kiedy myślimy o siostrach zakonnych, niezależnie zresztą od tego, czy ktoś jest osobą wierzącą, czy też nie, na myśl rzucają się takie skojarzenia, jak „pokorna”, „cicha”, „dyspozycyjna”... Czy te przymiotniki dobrze charakteryzują polskie zakonnice?

Siostra Małgorzata Chmielewska: - Jeśli Pan, i większość ludzi myśli o siostrach zakonnych w takich kategoriach, jak pokorna, cicha, dyspozycyjna, to nie mam nic przeciwko. Pokora jest cnotą, która przeżywa dziś swój deficyt. W świecie nastawionym na sukces i uznanie nie sztuką jest być kimś, ale sztuką jest być nikim. Powiem więcej, trzeba być bardzo silnym, by być naprawdę pokornym. Także cichość jest wartością. „Błogosławieni cisi, - mówi Jezus. I w końcu służebność czy – innymi słowy – dyspozycyjność wobec innych ludzi, którzy potrzebują naszej pomocy, czasu i życzliwości jest na wskroś chrześcijańską postawą. Jeśli w takich kategoriach większość społeczeństwa myśli o siostrach zakonnych, to bardzo dobrze.

- Ale mi idzie, by tak rzec, o drugie dno tego pozytywnego obrazu siostry zakonnej w naszej społecznej świadomości. Ten wyidealizowany, wręcz metafizyczny obraz zakonnicy służy nie tylko, by oddać sprawiedliwość zaangażowaniu siostr zakonnych w życiu Kościoła. Obraz ten, paradoksalnie, staje się argumentem na rzecz ich dyskryminacji. Mówiąc brutalnie: skoro siostry zakonne są ucieleśnieniem cnót wszelkich, skoro zawsze nadstawiają drugi policzek, to nie mogą odmówić pracy i zadań, które sprowadzają się do słynnej triady: wynieść, przynieść, pozamiataj.

- Dokładnie rozumiem o jakim mechanizmie myślenia i działania Pan mówi. Jednak jako ludzie tworzący Kościół powinniśmy mieć na uwadze to, co się w życiu naprawdę liczy, i co jest najważniejsze. Otóż w każdym z nas, zarówno w kobietach, jak i mężczyznach, tkwi pożądanie życia wartościami, które II Sobór Watykański nazwał „światowymi”. A więc dominacji, wydajności, zdobywania prestiżu, poszerzania pola władzy... Są to cele, które stają w radykalnej opozycji do wartości, jakie promuje Ewangelia. Zdarza się, że nawet w Kościele ktoś, kto jest cichy i pokorny, postrzegany jest jako naiwniak.

- To znaczy?

- Podam przykład, chodzi o to przede wszystkim mężczyzn, gdyż to oni zajmują ważne i eksponowane stanowiska kościelnych strukturach. Proszę nie traktować tego jako pretensji, ale ilustrację realizowania ludzkich ambicji. Pod pewnymi względami nawet zrozumieli.

Otóż do nowicjatów czy seminariów diecezjalnych trafiają zazwyczaj chłopcy pełni ideałów. Ludzie chcący porzucić uroki, jakie niesie życie w obecnym świecie, i wartości, jakimi on się kieruje. Mówiłam o tym przed momentem. Tyle tylko, że szybko się okazuje, iż w Kościele, choć w innym wymiarze, spotykają analogiczne mechanizmy. Tu, podobnie jak i w świecie, można natknąć się na „wyścig szczurów”: o stanowiska, o przywileje, o godności kościelne. Można rzec: „No cóż, jesteśmy tylko ludźmi, grzesznikami. A więc nic, co ludzkie nie jest nam obce”.

Osobiście jednak daje mi do myślenia, że ci młodzi ludzie, pełni ideałów przed wstąpieniem do zakonu, porzucają je zazwyczaj wtedy, kiedy przekroczą klasztorne mury, dostosowują się szybko do obowiązujących tam reguł gry. Zasad, które – powiedzmy to wprost – nie zawsze przesiąknięte są chrześcijańskim duchem.

- Być może jest to związane z osobliwą ścieżką kariery kościelnej. W korporacji, jak jesteś złym menadżerem, musisz liczyć się ze zwolnieniem. W Kościele istnieją zazwyczaj tylko „kopy do góry”. Jak jesteś złym proboszczem, zostaniesz przeniesiony do innej parafii. Ale broń boże, żebyś powrócił ponownie do roli wikarego. No, chyba że już rzeczywiście ksiądz wykręcił numer, który woła po pomstę do nieba.

- To bywa problem, ale nie dotyczy akurat naszych wspólnot „Chleb Życie”. Mamy oczywiście inne kłopoty, ale mechanizm, o którym Pan mówi, jest nam obcy. Przede wszystkim dlatego, że w naszych domach nie ma podziału na tych, którzy wyłącznie sprzątają, i na tych, którzy tylko wydają polecenia czy zajmują się pracą intelektualną. Jeśli ktoś nie potrafi pracować na komputerze, nie będzie tego robił. Ale to nie znaczy, że jeśli ja się znam, i na nim pracuje, to już omijam miotłę i szuflę szerokim łukiem. Nie będę też sprzątać domu czy rozwozić żywności.

Co więcej, jeśli w naszej wspólnocie przebywają kapłani, a tak zdarza się często, to również oni – mimo że są księżmi – nie uchylają się od pracy fizycznej. U nas nie ma „świętych krów”. Oczywiście księża zajmują się pracą duszpasterską, posługą sakramentalną, ale to nie znaczy, że już po obiedzie nie pomogą zmywać garów.

- Jednak polski seminarzysta czy ksiądz, jeśli myśli o siostrze zakonnej, to przede wszystkim jako „służącej”; albo gotującej, albo zmywającej naczynia. Siostra zaś jest przełożoną wspólnoty „Chleb życie”. Dowodzi – jeśli mogę tak powiedzieć – także w tym domu. A więc podlegają siostrze

również księżą tu przebywający. Muszą się więc podporządkować – raz, że kobiecie, dwa, że zakonnicy. Jak to znoszą?

- Po pierwsze, nie spotkałam wspólnoty, w której naczelną zasadą byłaby anarchia. Przełożństwo jest bardzo ważne. I konieczne. Ale ono ma być służbą, a nie przywilejem. Przełożony nie może być też człowiekiem, który nie zapanuje nad sytuacją, nie potrafi w trudnych chwilach wesprzeć ludzi, gdyż jest słaby.

Myślę, że różnica między tradycyjnymi wspólnotami zakonnymi a naszą polega na tym, że u nas stawia się na odpowiedzialność człowieka. Będąc tutaj musi czuć ciężar odpowiedzialności. Taki, jaki napotkałby w „normalnym” życiu. Przecież ludzie mający dwadzieścia lat muszą często już pracować, utrzymywać rodzinę, wychowywać dzieci itd. Moim celem nie jest stwarzanie tutaj przedszkola. I oczywiście w miarę wzrastania we wspólnotę dostają tej odpowiedzialności coraz więcej. Jednocześnie widzę, jak ci młodzi ludzie boją się wziąć odpowiedzialność za siebie, jak i za innych. To swoista ucieczka przed odpowiedzialnością. A tacy dlatego dobrze się czasami czują w tradycyjnych klasztorach, gdzie obowiązuje jasny i prosty regulamin: od tej i do tej godziny modlitwa, potem praca, spotkanie wspólnotowe, cisza nocna, i kolejny dzień.

Krótko mówiąc: nawet najsłabszego staramy się wychowywać do odpowiedzialności. A to kosztuje. Widział Pan, jak Krzyś czyści drzwi. Dlaczego? Ano dlatego, że musi wziąć odpowiedzialność za to, co zrobił. A w sobotę pomalował drzwi farbą emulsyjną zamiast olejną. Krzyś się uczy życia – długo i uporczywie. Miał powiedziane, że drzwi się maluje farbą olejną, podobnie zresztą, jak inni to robili. Ale on pomalował farbą emulsyjną. Dlatego dziś w pocie czoła musi to zeskrobać. I pomalować raz jeszcze. W ten sposób dźwiga ciężar odpowiedzialności za swój czyn.

A co do księży: ci, którzy tutaj są, przyjmują panujące reguły gry. I godzą się z tym, że kobieta i zakonnica dowodzi. Ale też moje przełożństwo nie polega na tym, że ja im co 3 minuty pokazuję, co mają robić. Staramy się wzajemnie szanować. Więc; ja nie mówię im przykładowo, jak mają odprawić mszę, jak mają spowiadać. To jest absolutnie ich działka, na którą nie wchodzę.

Problem jest nie tyle z tymi duchownymi, którzy decydują się tu przebywać dobrowolnie, przyjmując obowiązujące zasady, ale z ich kolegami po fachu, którzy się z nich wyśmiewają. Ba, mówią wprost, że są frajerami.

- I jak na to reagują?

- A to proszę ich zapytać.

- Siostra z nimi o tym nie rozmawiała.

- Nie, bo to jest głupie i śmieszne.

- Kiedyś siostra w ankiecie zorganizowanej przez redakcję dominikańskiego pisma „Teofil” celnie scharakteryzowała mentalność polskich facetów...

- ...nie, gdyż może trochę na opak chciałam jednak pokazać mentalność polskich kobiet. Jestem przekonana, że mentalność polskich mężczyzn jest w dużym stopniu owocem mentalnością polskich kobiet. I odpowiedzią na tę sytuację nie jest bynajmniej wojujący w Kościele feminizm, gdzie kobiety domagają się na przykład kapłaństwa kobiet. Odpowiedzią na to jest wzajemne wychowywanie się do tego, do czego zostaliśmy powołani: aby być naprawdę kobietą, i aby być naprawdę mężczyzną. Po co? Ano po to, by się dopełniać, wspierać, i pomagać.

Nie jest mi potrzebny chłop, który nie potrafi gwoźdźcia wbić, który nie potrafi być odpowiedzialny, i na którym nie można się oprzeć, bo ucieka nie tylko przed kobietą, w którym ona winna mieć podporę. On ucieka nawet przed samym sobą. Zbędny jest mi facet, którego muszę, prócz dźwigania na plecach swoich problemów i dzieci, nosić i jego kłopoty. Przykładowo: alkoholowe. W małżeństwie jedno ma wspierać drugie. Zgodnie z ewangeliczną zasadą wzajemności: „Jedni drugich ciężary noście”.

A w Polsce bywa tak, niestety, że to kobieta na swych barkach musi nieść wszystko. Włącznie z chłopem. I tak oto popełnia błąd.

- Czyli winę za obecny stan dyskryminacji i pozycji kobiety w społeczeństwie i Kościele ponoszą także same kobiety?

- Dokładnie. A jest ona wynikiem fatalnego wychowania. Bardzo często bywa tak, że kobieta, która miała męża – nazwijmy go imieniem – „do kitu”, w swym jedynym synu widzi oparcie. Ba, dostrzega w nim, oczywiście w sensie przenośnym, mężczyznę swojego życia. I go rozpieszcza. Robiąc mu oczywiście krzywdę.

Przykładowo: jeśli przychodzi do mnie matka, której dwudziestoletni syn jest alkoholikiem, i którego nie wyrzuci z bólem serca z domu, zmuszając go do terapii, ale go trzyma i się nim opiekuje, gdyż jest to jej ukochany synek, to w ten sposób nie pomaga mu przezwyciężyć uzależnienia.

Osobiście staram się walczyć z fatalnymi stereotypami, jakie już na temat kobiet zaczynają funkcjonować w procesie wychowania młodzieży. A polegają one na przekonaniu, że kobieta jest od „czarnej roboty”.

- Ta świadomość zdaje się być także obecna w wychowaniu seminaryjnym. Robi się młodym seminarzystą krzywdę, wmawiając im, że skoro „Bóg ich wybrał”, to już nie powinni zmywać, sprzątać... I taką świadomość w nich utwierdzają także matki, które – jak syn przyjedzie na wakacje – to wszystko mu się podstawia pod nos.

- Niestety, tak się często dzieje. Matka robiąca za służącą, kiedy synek-kleryk wraca do domu. Babcia całująca po rękach, bo to wszak dłonie kapłana. W seminarium, gdzie kobiety – siostry zakonne – najczęściej gotują, piorą i sprzątaj. Widać jednak, że kobiety nie są też bez winy. Rozpieszczają często swoich synów, kleryków, księży, ojców.

- To chyba także powód, że i w Kościele, który ma być wspólnotą równych, sióstr i braci, pokutuje stereotyp, że „zakonnica jest od czarnej roboty”. I bardzo trudno go przełamać. Opowiadała mi jedna z sióstr, jak to proboszcz pewnej parafii zachowywał się w miarę przyzwoicie wobec zakonnice, kiedy potrzebował ich pomocy. Kiedy jednak się okazało, że budynek, w którym siostry mieszkały jest potrzebny, nie zawahał się je bez słowa wyjaśnienia wyrzucić. Jak w takich przypadkach siostry zakonne mają walczyć o sprawiedliwość?

- To właśnie przejaw tej fatalnej świadomości, że jak się proboszczowi zmieni opcja, to bez słowa może „eksmitować” zakonnice. Mam jednak poczucie, że przyzwolenia na analogiczne praktyki w Kościele już nie ma. Co nie znaczy, że się nie zdarzają. Po drugie, znów uderzę się we własne piersi. Za taki stan odpowiadają czasami same siostry. Gdyby zakonnice postawiły się od razu, i gdyby nie dały się sprowadzić tylko do roli tych „od czarnej roboty”, zapewne sytuacja wyglądałaby inaczej. Powtarzam: nie uważam, że pranie, gotowanie czy sprzątanie jest mniej ważne, niż praca naukowa czy sprawowanie sakramentów. Ale sprzątacze, nawet gdy jest nią zakonnica, należy się szacunek.

Tu niedaleko Opatowa funkcję proboszcza pełnił ks. Marcin Popiel. Dziś już nieżyjący kapłan, który współpracował z Urszulankami Szarymi. I on te siostry bardzo cenił. Jedne siostry zajmowały się sprawami gospodarczymi, inne katechizowały. Nigdy nie widziałam, aby siostry w tej parafii były traktowane jak niewolnice. Przeciwnie: były częścią rodziny. I o to walczył sam proboszcz. Inna rzecz, że był dżentelmen.

- Przywołam jeszcze inny przykład, który z kolei dobrze ilustruje, jaki obraz siostry zakonnej może być przekazywany świeckim wiernym, jeśli proboszcz nie grzeszy rozsądkiem i dobrym wychowaniem. Oto kleryk, zwyczajem seminaryjnym przyszedł do parafii X na miesięczne praktyki. Proboszcz zorganizował uroczyste przywitanie alumna. A kiedy praktyki się skończyły, uroczyste pożegnanie. W tej samej parafii przez 10 lat pracowała siostra zakonna jako zakrystianka. A więc sprzątała Kościół, dba o oprawę liturgiczną, by na końcu swej dziesięcioletniej posługi nie usłyszeć nawet dziękuję. Nie mówiąc już o jakiejś uroczystej liturgii, w czasie której obecna byłaby cała wspólnota parafialna.

- I znów: gdybym to ja była przełożoną tej siostry, poszłaby i powiedziała proboszczowi, co o takim postępowaniu myślę. A myślę oczywiście jak najgorzej. Być może nikt mu w życiu zwyczajnie nie uświadomił, że tak się z ludźmi, nawet jeśli to jest kobieta, nawet jeśli siostra zakonna, nie postępuje.

W Kościele powinniśmy odnosić się do siebie jak ludzie wobec ludzi, a nie jak ci, którzy są mężczyznami czy kobietami, albo ci, którzy pełnią taką lub inną funkcję. Zanim jest się siostrą zakonną czy księdzem, jest się kulturalnym i dobrze wychowanym człowiekiem.

- A czy siostra spotkała się w Kościele z lekceważeniem?

- Brak szacunku ma różne źródła: często wypływa z kompleksów, często także z chęci dominacji. Osobiście jednak nie spotykam się w Kościele ze strony mężczyzn z lekceważeniem tylko z tego powodu, że jestem kobietą. Mogą mnie ludzie nie lubić, uważać, że to, co robię jest złe, nie podzielać mojego zdania. Ale nie doświadczyłam przykrości z racji tego, że jestem kobietą.

- Dlaczego młode kobiety decydują się dziś przekraczać klasztorne mury? Przecież jeśli nawet kobiecie wciąż trudniej zrobić karierę w tzw. świecie niż mężczyźnie, to i tak zdecydowanie łatwiejsze osiągnie to osiągnąć niż w Kościele?

- Przede wszystkim liczba żeńskich powołań systematycznie spada! Ale te kobiety, które decydują się na wybór życia konsekrowanego mają świadomość, że jest to styl życia, gdzie musisz poświęcić się bez reszty drugiemu człowiekowi i Chrystusowi. W zakonie próżno szukać miejsca na zrobienie szybkiej i błyskotliwej kariery. Co też nie znaczy, że – na przykład nawet w naszej wspólnocie – ludzie nie kończą studiów. I nie znaczy, że stawiamy na ludzi niedouczonech. Jednak dla nas celem nie jest zdobywanie wiedzy dla samej wiedzy. Wykształcenie jest na użytku pomocy drugiemu człowiekowi. Żyjemy i pracujemy dla ubogich i pośród ubogich.

Generalnie jednak myślę, że coraz mniej kobiet będzie się decydować na wybór drogi zakonnej. To jednak nie musi oznaczać kryzysu. Gdyż mniejsze wspólnoty oczyszczą się prawdopodobnie z rozmaitych naleciałości, jakie na zakonach wymogły struktury zarządzania wielkimi i licznymi zgromadzeniami w przeszłości. Mniejsze liczebnie zakony i wspólnoty łatwiej powrócą do swych pierwotnych charyzmatów. Taka sytuacja może sprawić, że do zakonów żeńskich, ale i męskich, trafiać będą młodzi ludzie, których jedynym jest życie z Chrystusem, a nie próba zapewnienia sobie spokojnej egzystencji, skoro wikt i opierunek jest zagwarantowany. Oczywiście nie chce przez to powiedzieć, że ci, którzy dziś przekraczają klasztorne mury, czynią tak z niskich i przyziemnych pobudek.

Jest jednak znakiem czasu, że Jan Paweł II w czasie swej ostatniej wizyty do Polski, ale i poprzez pisma, które zostawił, mówił tak dużo o konieczności radykalizacji życia osób, które poświęciły się Bogu. W papieskich tekstach można wręcz dostrzec błaganie o powrót do życia prostego i ubożego zakonników.

- Przykładem takiego radykalnego życia jest zgromadzenie Misjonarek Miłości założone przez Matkę Teresę z Kalkuty. I jest coś szokującego dla obserwatora z zewnątrz, kiedy widzi młode i piękne dziewczyny zajmujące się chorymi. Kiedy widzi, jak one wyciągają śmierdzących bezdomnych z dworcowych podziemi, i obcinają im paznokcie, myją włosy...

- Rozwój takiego zgromadzenia jak Matki Teresy świadczy o tym, że bardzo wielu młodych ludzi poszukuje radykalnego życia w prawdzie. Wstąpienie do takiego zgromadzenia to z pewnością jeden ze sposobów na takie życie.

Oczywiście Matka Teresa była fenomenem sama w sobie. Jest bowiem tak, że Pan Bóg wybiera określonych ludzi, powołując ich do radykalnych zadań. Zakonnica z Kalkuty odpowiedziała na to boskie zaproszenie. Intrygujące, że nowe wspólnoty o bardzo radykalnym stylu życia na Zachodzie, który w powszechnej świadomości opływa bogactwem i konsumpcją – nie cierpią na brak powołań.

Kryzys powołań dotyczy przede wszystkim starych – jeśli tak mogę powiedzieć – zakonów.

- Dlaczego? Czy to jest efekt nieprzystających do dnia dzisiejszego struktur tych zakonów?

- W pewnym sensie tak.

- Daje do myślenia, że na kilkanaście tysięcy sióstr zakonnych w Polsce, tak mało kobiet w habitach bierze udział w dyskusjach społecznych czy nawet kościelnych. I że bodaj jedyną zakonnicą zabierającą głos jest siostra Chmielewska. Czyżby siostry zakonne nie miały nic do powiedzenia?

- Po pierwsze, myślę, że w dużej mierze to media zrobiły ze mnie osobę medialną. Bardzo często się bronię, i mówię, że nie jestem jedyną siostrą w tym kraju: „Nie mam czasu, proszę szukać innych, bo jest naprawdę mnóstwo wspaniałych kobiet w habitach”. Ale dziennikarze są leniwi, i myślą wedle logiki: „no jest siostra Chmielewska, ona nie gada tak do końca od rzeczy, i nie gada takich totalnych bzdur”. Proszę mi wierzyć, że do mnie dzwonią dziennikarze pytając mnie o tak dziwaczne sprawy, że czasami zachodzę w głowę, co nimi kierowało.

Dlatego bardzo często staram się kierować dziennikarzy do innych sióstr zakonnych, które robią pasjonujące rzeczy, i które mają bardzo intrygujące i nietuzinkowe osobowości. Czasami się to udaje, jak w przypadku siostry Anny Bałchan z Katowic, która odwała kawał dobrej roboty. To jest jedna rzecz.

Druga jest taka, że pewne tematy są trendy. I dobrze. To, co my robimy, jest na czasie. Ale to nie tyle jest naszą zasługą, a raczej owoc tego, że jednak staramy się reagować na „znaki czasu”. Tak, dziś „znakiem czasu” jest bieda, wykluczenie, ludzi zepchnięci na margines życia społecznego. I my staramy się im pomagać.

- Nie do końca mogę się z Siostrą zgodzić. Po pierwsze, rozmowa z siostrami zakonnymi naprawdę jest trudna. Zmuszenie siostry, by powiedziała coś publicznie, zajęła stanowisko, graniczy czasami z cudem. Po drugie, jak już pojawiają się siostry, które z powodzeniem mogły brać udział w dyskusjach publicznych, to zaraz napotyka się na trudności, że – przykładowo – muszą pytać przełożonej, czy może coś powiedzieć, bo dziennikarza dzwoni. Siostra ma ten luksus, że nie musi nikogo prosić o zgodę.

- Zgoda. Ale też nie mam poczucia, że rolą zakonnic jest eksponowanie się w mediach. Jeśli jednak siostra zakonna ma coś konkretnego i ważnego do powiedzenia na palący temat społeczny, to nie powinna się od tego uchylać, i uciekać przed środkami przekazu.

Brałam kiedyś udział w programie zrobionym przez Jacka Żakowskiego i Piotra Najsztuba na temat zakonnic. Prócz mnie w studio była jeszcze młoda siostra, bodajże salezjanka, i prowadzący łączyli się z siostrą zakonną z klasztoru sióstr wizytek. Okazało się, w czasie trwania programu, że zakonnica to normalny człowiek.

Ale środki przekazu mogą być niebezpieczne nawet dla osób duchownych. Czasami powstaje pokusa, by zrobić z siebie gwiazdę medialną. A jest komiczne, kiedy medialność przerasta rzeczywistość. Obserwowaliśmy, jak niektórym księżom w ostatnich latach zdarzało się, iż pokusa bycia gwiazdą szklanego ekranu była silniejsza niż konieczność dawania chrześcijańskiego świadectwa.

A telewizor daje nieprawdopodobną popularność. Wiem, co mówię, bo czasami sama nie mogę przejść ulicą, by nie doszły mnie stwierdzenia: „widziałem siostrę w telewizji”. Odpowiadam: „i co z tego”. Krótko mówiąc: nawet osoby duchowne nie są wolne od pokusy gwiazdorstwa, jaką daje pokazanie się w telewizji. Po drugie, jak już ktoś pokarże się w TV, choćby by był najgłupszy, w przekonaniu społecznym staje się autorytetem i zdobywa prestiż. Mówi się: „to jest ktoś”.

- Moje widzę trochę inne źródła deficytu obecności siostr zakonnych w debacie publicznej. Otóż wydaje mi się, że siostry zakonne są w Polsce słabo wykształcone. Znów odwołam się do przykładu: jedno ze zgromadzeń w Krakowie odtworzyło szkołę – gimnazjum. I okazało się, już po otwarciu, że w klasztorze brakowało siostr, które miałyby wykształcenie pedagogiczne. Kiedy sobie to uświadomiły, hurtem wysyłano siostry, by kończyły studia.

- Tym razem ja się nie do końca zgodzę. Otóż wbrew temu, co pan mówi sądzę, że jeśli idzie o siostry zakonne, to przygniatająca większość z nich ma pokończone studia wyższe. Ten odsetek jest nieproporcjonalnie wysoki do zadań, jakie przed nami stoją. Bo się okazuje, że nie ma się kto zająć podcieraniem pup niemowlakom czy opieką nad starszymi i schorowanymi ludźmi. „Nie po to kończyła siostra studia, by teraz się chorymi i bezdomnymi zajmować” – brzmi odpowiedź, kiedy trzeba zająć się przyziemnymi sprawami.

W naszej mentalności jest coś przedziwnego. Osoba, która skończyła studia wyższe nie może już sprzątać, gotować, zamiatać. Nie twierdzą, że ta mentalność występuje w zakonach w masowej skali, ale jest obecna. W zgromadzeniach zakonnych męskich natkniesz się na to na każdym kroku. Mężczyzna, który skończył studia wyższe, i jest kapłanem, nie będzie mył przeciw garów. Nie po to sześć lat studiował, by myć zęby staruszkowi. Od takich zajęć jest brat zakony, sprzątaczką, albo siostra zakonna.

Tyle tylko, że ta mentalność ma swoje źródła. Każda z osób duchownych dorastała w tym społeczeństwie, i z niego przenoszone są owe chore wzorce do klasztornych murów. „Skończyłem studia, jestem bez pracy, ale nie pójdę robić

hamburgerów, bo przecież mam wyższe wykształcenie” – rozumuje wielu absolwentów. Taki jegomość woli iść na zasilek, lenić się, i narzekać.

- Osobiście uważam, że jednak lepiej jest, kiedy siostra kończy studia.

- Zgoda! Też nie mam nic przeciwko edukacji.

- Jest siostra przełożoną wspólnoty „Chleb Życie”. Czy Siostra pełni w swej wspólnocie także rolę osoby dającej konferencje duchowy, komentującej Pismo Święte?

- Nie są to ani wykłady, ani prelekcje. Modlimy się wspólnie, i czasami dzielę się swoimi przemyśleniami na temat Ewangelii na dany dzień. Jak każdy przełożony, spoczywa na mnie dbania o formację duchową. Ale nie jest to w żaden sposób oficjalne nauczanie.

Często zdarza mi się głosić w różnych miejscach dla różnej publiczności konferencje. Ale znów; nie jest to wykład teologiczna na temat Trójcy Świętej. Dzielę się doświadczeniami, które napotykam w życiu. Myślę, że chrześcijaństwo nie polega li tylko na uczonej wiedzy i jej przekazywaniu. Chrześcijaństwo jest świadectwem.

- Przyznam, że mi jako człowiekowi wierzącemu brakuje - szczególnie w polskim Kościele – głosu kobiet, które interpretowałyby Pismo Święte. Albo, jak Siostra woli, mówiły o swoim doświadczeniu wiary. Czy chowając kobiecy głos pod korcem nie ograniczamy przekazu Ewangelii?

- Kobiety rzeczywiście powinny odważyć się mówić. Nie brakuje mi zaproszeń na rozmaite prelekcje, wykłady czy konferencje. Po pierwsze dlatego, że właśnie, jak się już rzekło, telewizja w moim przypadku zrobiła swoje. I w miarę możliwości staram się nie odmawiać, a już na pewno nie mówię „nie”, kiedy mam mówić do ludzi młodych. Po drugie, może jednak także inne siostry zakonne należałoby pociągnąć za język, by one zechciały opowiedzieć o swoim przeżywaniu chrześcijaństwa. Wiem, że to nie jest proste, ale też nie jest niemożliwe.

Oczywiście siostry, które posiadają misję kanoniczną uczą katechezy w szkole. Ale to jest jednak coś innego niż dzielenie się wiarą, którą przeżywa się jako kobieta, osoba konsekrowana. Ten rozdźwięk, jaki występuje między katechezą a świadectwem życia prowadzi w konsekwencji do tego, że za chwile wychowamy całe pokolenie pogan. Młodzież, która uczy się na pamięć katechizmu w szkole nie spotyka się ze świadectwem. Spotyka li tylko wiedzę

religijną, której wymagają od nich osoby w habitach. A to nie to samo, co - powtórzę - głoszenie Ewangelii.

- To jest jedna strona medalu. Druga jest taka, że może warto, aby „kobięcy punkt widzenia” na kościół i chrześcijaństwo dobiegł także do ucha męskiej części Kościoła. Także duchownych.

- Sytuacja jest paradoksalna. Bo ja mam bardzo często zaproszenia od męskich zgromadzeń czy księży, a – jak do tej pory – nie miałam zaproszenia ze strony zgromadzeń żeńskich.

- Skąd ten brak zainteresowania?

- Może to jest lęk przed nieznanym. Mówiąc to nie znaczy, że chce się wepchnąć ze swymi „mądrościami” do klasztorów żeńskich. Zapewne większość z sióstr ma więcej do powiedzenia ciekawszych rzeczy, niż ja. Jednak jest faktem, że nie otrzymuje zaproszeń od zgromadzeń żeńskich. Może ich członkinie, znając trochę moje poglądy, dochodzą do wniosku, że ich potrzeby są inne. Chociaż raz zdarzyło mi się mówić do sióstr zakonnych, kiedy zaprosiło mnie centrum kształcenia zakonnicek.

- I jak? Łatwiej się mówi do mężczyzn czy kobiet?

- Nie ma różnicy. Najtrudniej się mówi do młodzieży.

- Siostra w swej działalności spotyka się z kobietami, które są przedmiotem przemocy ze strony mężczyzn. Pomaga im przetrwać trudne chwile. Czy miała rację Magdalena Środa mówiąc, że „katolicyzm nie wspiera bezpośrednio, ale też nie sprzeciwia się przemocy wobec kobiet. Istnieją jednak pośrednie związki, poprzez kulturę, która jest silnie oparta na religii”.

- Absolutnie katolicyzm nie warunkuje przemocy. Nie ma, moim zdaniem, takiej zależności. Co więcej, Kościół nie zachęca do przemocy. Przeciwnie, stara się ją neutralizować i zwalczać. Także pod wpływem nauczania Kościoła zmieniała się w ciągu dziejów rola kobiety; i to nie tylko w samym Kościele, ale także w społeczeństwie. Ostatnio rozmawiałam z pewną żydówką, która powiedziała, że w judaizmie miejsce kobiety jest dużo niżej niż mężczyzny. To chrześcijaństwo stara się, choć z trudem, gdyż na to nakładają się kulturowe uwarunkowania, popularyzować pojęcie równości mężczyzny i kobiety. Oni oboje są równi wobec siebie, jak mówi Biblia. I równie wobec Boga.

Kwestia przemocy w rodzinie czy wobec kobiet, jest najczęściej uwarunkowana zaburzeniami psychiki mężczyzny. Facet jakby z natury jest przystosowany do walki – do zdobywania i panowania. Jeśli ja ma dwóch chłopów na podwórku to wiem, że najpierw muszą ustalić, który z nich jest szefem. Który kogut jest ważniejszy. A jeśli tak, to źle ukierunkowana agresja, podszyta na przykład alkoholizmem musi prowadzić do tragedii.

- Przemoc najczęściej występuje w rodzinie. Dla Kościoła małżeństwo jest sakramentem – raz zawarte, jest nierozdzielne, do grobowej deski. I bywa, że - jeśli kobieta jest bita - to w imię tej sakramentalnej nierozdzielności małżeństwa musi znieść cierpienie.

- I tak, i nie. Oczywiście w żadnym wypadku nie zachęcam kobiet do tego, by po każdej kłótni brała rozwód, i ponownie wychodziła w nowy związek. Rzeczywiście w grę wchodzi sakrament małżeństwa. Najczęściej jest tak, że ten sakrament w chwili zawarcia związku był ważny. Ale w wyniku rozmaitych okoliczności mężczyzna zamiast być kochającym ojcem, stał się okrutnym katem, a rodzinną ofiarą przemocy. Rozsądek podpowiada, że nie można się dać zabić, i narażać na niebezpieczeństwo dzieci. To nie o to chodzi. Wierność w imię znoszenia przemocy, i bycia ofiarą nie może być celem małżeństwa. Sensem i celem sakramentu małżeństwa jest szczęście i wierność.

A jeśli tak, to kobieta, która staje się ofiarą przemocy, powinna jak najszybciej się wyzwolić. Akceptowanie przemocy nie jest sensowną ofiarą z własnego życia. Taka ofiara nie przynosi nic dobrego. Przeciwnie, utwierdza sprawcę przemocy w jego działaniach. Dlatego kobieta musi odejść.

- To skąd świadectwa kobiet, które odchodzą od konfesjonały, i mówią, że ksiądz powiedział, iż sytuacja, w której mąż bije ją i dzieci wina zostać odczytana jako rodzaj krzyża, który należy dźwigać. „Czyż Pan Jezus nie cierpiał?” – pytają retorycznie kapłani.

- Ile pan tych kobiet spotkał. No ile?

- Nie mam statystyk, bo też nikt nie stoi przy wyjściu z Kościoła, by pytać penitentki o ich intymną w końcu rozmowę. Ale słyszałem o kilku.

- A może to są mity? Sama często dostaje telefony od księży, którzy dzwonią i mówią; „Siostrze, mąż bije żonę. Nie można tak dłużej. Coś musimy zrobić. Jak możemy jej pomóc?”.

Nie twierdzą, że nie zdarzy się jakiś głuptas, który karze trwać kobiecie w związku, w którym jest ona ofiarą. I to w imię krzyża. Ale to jest wyraz

bezradności kapłana, a nie złej woli. Ksiądz nie jest od rozwiązywania problemów przemocy w rodzinie, gdzie ich źródłem często jest alkoholizm. On się na tym nie zna. Ksiądz jest od sakramentu i od grzechu. Jeśli zaś dowiaduje się o przemoc w rodzinie z konfesjonału, powinien pomóc kobiecie skierować męża na leczenie do specjalistów i terapeutów. Być może są kapłani, którzy uważają, że są w stanie takim przypadkiem zaradzić. Ale powinni pamiętać, że dobrymi intencjami jest piekło wybrukowane.

Wszystkim, którzy zarzucają Kościołowi, że nie reaguje na przemoc, pytam: kto prowadzi najwięcej domów dla ofiar przemocy domowej? Kościół katolicki.

- Mnie nie dziwi, że w katolickim kraju, jakim jest Polska, Kościół prowadzi takie ośrodki. Bierze w ten sposób odpowiedzialność za ludzi, którzy w większości są katolikami. Byłbym zdziwiony, gdyby nie prowadził takich ośrodków, czyli uchylał się od tej odpowiedzialności. Pytanie raczej brzmi, czy nie może robić więcej?

- Pewnie zawsze można robić więcej. Ale nie zgadzam się, by stawiać Kościołowi zarzut, że potępia kobiety, jeśli decydują się opuścić swoich mężów prześladowców. Co więcej, myślę, że należy kobietom mówić, by opuszczały swoich prześladowców wcześniej, by nie czekały, aż zdarzy się jakieś nieszczęście. Choć z drugiej strony wiem, że w samej naturze kobiety jest, by chronić małżeństwo. Ona nie po to wychodziła za męża, by potem bez walki z małżeństwem rezygnować. Chce za wszelką cenę chronić rodzinę.

Już zupełnie potem inną jest sprawą, czy jako chrześcijanka będzie ona dalej żyła w czystości, czy też powźmie decyzje o związaniu się z kimś innym.

- Ale jak powiedzieć przykładowo dwudziestoletniej pięcioletniej kobiecie, że od tej chwili opuszczenia męża - zgodnie z nauczaniem Kościoła - ma żyć do końca życia w celibacie, bo jej mąż, którego kochała, i z którym miała nadzieję być do „grobowej deski”, okazał się tyranem? Czy Kościół naprawdę rozumie takie kobiety?

- Myślę, że doskonale rozumie. Tutaj dochodzimy do sedna sprawy- czym jest miłość i co oznacza wierność. Jeśli traktujemy nasze życie na ziemi jako ostateczne, owa wierność nie ma sensu, podobnie jak nie ma sensu wyrzeczenie, poświęcenie dla innych itd. Chrześcijanin ma nadzieję na życie wieczne i w tej perspektywie, nie odrzucając, a wręcz przeciwnie – miłując życie tu na ziemi buduje je w perspektywie wieczności. Chrystus nie obiecał nam życia bez cierpienia. On mu nadał sens. Wierność w opisanym przypadku jest heroizmem, na pewno. Dlatego Kościół powinien otaczać szczególną troską osoby, które chcą w niej wytrwać. Myślę, że mamy tu wiele jeszcze do zrobienia.

- Siostra twierdzi, że w większości przypadków podłożem przemocy jest alkoholizm. W takich sytuacja sprawa jest klarowna: męża alkoholika, który znęca się na kobietą i dziećmi, należy opuścić. Ale co zrobić z tymi mężczyznami, którzy są, by tak rzec, „normalni”. Idą do pracy, wynoszą śmieci, a w niedziele zakładają białą koszulę i krawat, by pójść na sumę do Kościoła. Po czym wracają, zakasują rękawy, i bije żonę oraz dzieci.

- To prawda, że zdarzają się takie przypadki. Tyle tylko, że dla mnie jest wtedy jasne, iż taki mężczyzna ma zaburzenia psychiczne. I tak jak przy alkoholizmie, tak i tu kobieta nie może pozwolić sobie na to, by być „workiem treningowym”. Mężczyznę z zaburzeniami psychicznymi albo się leczy, albo – jeśli to nie pomaga – trzeba od niego odejść.

Ale bywa też odwrotnie. Miałam historię, w której to mąż był ofiarą przemocy. I to wcale nie było śmieszne.

- Ostatnie pytanie: co Siostra czuje, kiedy otrzymuje tytuł kobiety roku od miesięcznika „Twój Styl”? Pisma dla bogatych pań z dobrych domów, których jedynym bodaj zmartwieniem są przybywające na twarzy wraz z upływem klat zmarszczki.

- Co myślę...? Pomyślałam sobie wtedy tak: jeżeli osoby, czytelniczki „Twojego Stylu” wybrały akurat mnie, zakonnice, która w sposób jasny stara się reprezentować pewne wartości, to znaczy, że istnieje tęsknota za tymi wartościami. Czy to źle?